

POD WIATR.pl

NR 5 (193) ROK XXV PAŹDZIERNIK-LISTOPAD-GRUDZIEŃ 2017

ISSN 2084 - 8226

SAMI O SOBIE CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE

5



Fot. Robert Sawicki

**Trawa
wszędzie
jest zielona**

Amerykańskie impresje

**Marzenia
do
spełnienia**

**Wychowała
mnie ulica**

**Witryna
literatury
i sztuki**

**Ekologia
bez granic**

■ Autorem POD WIATR.pl jest młodzież: amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii.

■ POD WIATR.pl is created by young people: amateurs of the journalism, literature, fine arts and photography.

Jak w pięknym śnie

Dwudzieste piąte urodziny POD WIATR. W życiu człowieka to dużo. W historii czasopisma młodzieżowego to spory kawałek czasu. Kiedy spoglądam w przeszłość i wspominam nastoletnich autorów pierwszego numeru POD WIATR, czuję wzruszenie i podziw, że odważyli się i poszli za moim i swoim marzeniem. A potem, w ślad za nimi – kilka tysięcy ich rówieśników z kraju i z zagranicy. Na podwiatrowych łamach, ujawniając swój talent dziennikarski, literacki, plastyczny i fotograficzny, pozyskali dla naszej idei Rodaków – Czytelników, Przyjaciół i Sympatyków w ponad stu krajach. Kiedy piszę te słowa, wzruszenie powraca w dwójnasób. Urodzinowym wydaniem POD WIATR kończy swoją historię. Wszystkim, którzy ją współtworzyli, serdecznie dziękujemy.

W październiku 1993 roku w pionierski „podwiatrowy” rejs udali się nastoletni publicyści i poeci: Dominika Biela, Piotr Budzyński, Aleksandra Gabara, Agnieszka Jarzębowska, Kamila Kaczmarek, Piotr Kowalski, Maciej Kucharski, Anna Lipowicz, Agnieszka Maciejewska, Sławomir Moraczyński, Agnieszka Rautman, Krzysztof Sandurski, Małgorzata Stosel, Joanna Wałęcka, Filip Wieszok, Michał Wroński i Anita Żak. Tadeusz Oszubski zainicjował redagowanie Witryny Literackiej, potem przez wiele lat kontynuował ją Zygfryd Szukaj. Dzięki pomocy Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej ideę edukacji proekologicznej zaczęła upowszechniać podwiatrowa „Ekologia bez granic”. Z portu nad Brdą pomogli POD WIATR wypłynąć między innymi: Urząd Miasta Bydgoszczy, Inspektorat PZU – Życie S.A. i Prasowe Zakłady Graficzne w Bydgoszczy. Na mostku kapitańskim stanąłem ja.

Od pierwszego wydania na szlaku światowego rejsu towarzyszy nam Wydawnictwo MARGRAFSEN Marii Senskiej – obecnie Dom Wydawniczy MARGRAFSEN, nadając wizerunkowi pisma kształt rozpoznawany przez Polaków zamieszkujących odległe zakątki Ziemi. Od pierwszego numeru projektuje go technicznie i graficznie redaktor Anna Faleńczyk. Od kilkunastu lat jej projekt przenosi na ekran komputera Iwona Dombrowska

a Hanna Borawska zajmuje się literacką korektą tekstu.

Kiedy w 1993 roku ukazał się w Bydgoszczy pierwszy numer POD WIATR, wzbudził lokalne zainteresowanie odmiennością od pism adresowanych w owych czasach do młodzieży. Inność polegała na tym, że o rozmaitych sprawach obchodzących nastolatków na łamach pisma wypowiadali się ich rówieśnicy: komentarem, reportażem, felietonem, wierszem, rysunkiem, fotografią... „Sami o sobie” – taka była filozofia pionierów, zapaleńców, niepokornych entuzjastów, kilkudziesięciu uczniów szkół bydgoskich, którzy w październiku 1993 roku zapragnęli czegoś więcej niż pisania „do szuflady”. Wzięłem sobie ich marzenia do serca, podpowiedziałem im kształt, barwę i spróbowałem wspólnie iść dalej.

Nasze pierwsze wrażenie długo celebrowaliśmy w milczeniu. Radość? Zaskoczenie? Niedowierzanie? I przez mgnienie oka niespokojna myśl – co dalej? Czy uda się... DALEJ?

Później wszystko stało się jak w pięknym śnie.

W grudniu 1994 roku przedstawiciele bydgoskiego Kuratorium wyjeżdżający na Litwę, do Solecznik, zabrali kilkadziesiąt egzemplarzy czasopisma dla młodzieży pochodzenia polskiego. Wzbudziło aplauz, a ja pomyślałem sobie – skoro POD WIATR zostało dobrze przyjęte na Litwie, to dlaczego nie przekazywać go młodym Polakom na Białorusi, na Ukrainie, w Rosji, Estonii,

na Łotwie... a może jeszcze dalej? O ogromnej pomocy w dotarciu do rodaków mieszkających blisko udzieliła mi przez wiele lat warszawska Fundacja „Oświata Polska za Granicą”. Później, po skrupulatnych, samodzielnych poszukiwaniach, dysponowałem bazą adresową pozwalającą puścić czasopismo na najgłębszą wodę. I tak oto z portu nad Brdą nasz okręt z młodzieżową załogą dziennikarzy i poetów wyruszył w świat, stając się zjawiskiem prasowym bez precedensu – pierwszym w Polsce czasopismem społeczno-kulturalnym o zasięgu międzykontynentalnym tworzonym przez młodzież dla młodzieży tej samej narodowości. O ile wiem – nie ma pisma młodzieżowego o takiej formule i zasięgu w innych krajach. Po 18 latach, w grudniu 2011 roku, POD WIATR czytali młodzi i dorośli Polacy w ponad 500 ośrodkach polonijnych w 106 krajach. Wielu z nich stało się jednocześnie jego autorami.

Po latach jeden z młodych autorów zauważył: „pofrunęliśmy ku niebu”. Kilka tysięcy nastoletnich „żeglarzy”: reporterów, literatów, fotografików, rysowników płynąc przez morza i oceany w poszukiwaniu polskich przystani – zmierzyło się z wiatrem, odważnie idąc pod wiatr niedowierzaniu, obojętności, sceptycyzmowi. Czasopismo stało się dla nich okazją do pokazania „siebie”, do nawiązania przyjaźni z polskimi rówieśnikami pochodzenia polskiego na świecie, utrwalania poczucia wspólnych narodowych korzeni.

I – jakby w zadośćuczynieniu za trud tworzenia – krzepiący serce odzew Rodaków STAMTAŁ. Także tych w jesieni życia, w których twórczość i marzenia młodego pokolenia wznieciły na nowo iskrę młodości.

Mijają dwadzieścia cztery lata, odkąd wypłynęliśmy w pionierski rejs – nikt w Polsce przed nami tego nie zrobił – przez oceany świata do Rodaków na sześciu kontynentach. Od sześciu lat w wersji elektronicznej czasopisma docieramy tam, gdzie się nam nawet nie śniło. Popłynęliśmy na przekór wszystkiemu, co na

trudne pytania egzystencjalne znajduje najprostsze odpowiedzi. Z tytułem, który uosabia bariery i niepokoję piętrzące się przed młodością – niekiedy durną, chmurną, lecz jeszcze częściej wzlatującą nad poziomy tego, co zwyczajne, szare.

Dla mnie redagowanie i wydawanie POD WIATR stało się wyzwaniem życiowym. Kiedy przed laty pomyślałem najpierw o 10. urodzinach, potem 20., czas wydawał mi się tak odległy, iż lękałem się myśleć o nim inaczej niż w kategoriach pięknego marzenia. Tym bardziej więc doceniam zrządzenie Opatrzności, która pozwoliła mi – nam czas trudu wieńczyć dniem satysfakcji.

Za tę piękną, osobistą, dwudziestoczeroletnią przygodę dziękuję Współpracownikom i Wszystkim pomagającym w jej trwaniu. Szczególnie osobom mi Najbliższym, podzielającym moją pasję z jej blaskami i cieniami, pomagającym mi ją kontynuować. Najbliższym – zawsze przy mnie obecnym w chwilach zwątpienia i radości. Bo POD WIATR od początku było czasopismem rodzinnym, w które wkładaliśmy nasze serca i intelekt.

Myślałem – myśleliśmy w głębi duszy i wyobraźni – o tym, że pewnego dnia nasza „podwiatrowa” historia zakończy się, że wpłyniemy do Przystani Pamięci. Zacumujemy w niej, rzucimy kotwicę i pozostaniemy tam na zawsze. Dzisiejszym wydaniem to robimy.

Pamięć o człowieku trwa, dopóki żyją ludzie, którzy go znali. Pamięć o czasopiśmie chroniona przez archiwa i zbiory biblioteczne – w naszym przypadku również zagraniczne – trwać będzie dłużej. Można będzie sięgnąć do POD WIATR po latach i z podziwem lub zazdrością snuć refleksje o marzeniach młodego pokolenia z przełomu XX i XXI wieku. Pokolenia pragnącego wlecieć nad poziomy, „by ruszyć z posad bryłę świata i nowymi ją pchnąć tory”.

Czytelnikom, Przyjaciółom i Sympatykom TU i TAM dziękuję za życzliwy kącik w sercach i ciepło, które przez prawie ćwierć wieku podgrzewało mój – nasz zapał. Domena www.podwiatr.pl zostaje śladem naszej wzajemnej przyjaźni. Czy warto do niej zaglądać? Myślę, że tak. Warto pamiętać i sobie przypominać.

Mirosław Twaróg

Na fali wspomnień

Czasami Bóg zsyła na Ziemię takich ludzi...

„Człowiek otrzymał dar wolności od swego Stwórcy. Dzięki wolności człowiek może tę ziemię kształtować i porządkować, może tworzyć wspaniałe dzieła ludzkiego ducha, które wypełniają ten kraj i świat cały: nauka i sztuka, gospodarka i technika, cała kultura”.

Jan Paweł II

Dla mnie wolność oznacza wybór. Mogę wybierać, co oznacza, że jestem wolna, nikomu niepodporządkowana, niezależna w swoich decyzjach. Każdy człowiek wybierając swoją drogę wolności, kształtuje Ziemię w pewien osobliwy sposób. Ziemia jest taka, jacy jesteśmy my, bo my tworzymy Ziemię. Porządkujemy ją według naszych własnych zasad, naszych wartości – możemy w nich pozostać lub je przekroczyć. Możemy kształtować ją, wydając dojrzałe owoce pracy. Znajdź cel, właściwą granicę wolności, rozwiń skrzydła i wleć do granicy nieśmiertelności! Wznies ducha narodu ponad czas!

„Wiedźcie, że nie jesteście samotni. Towarzyszy wam Ktoś, kto was nigdy nie zawiedzie”.

Nie jestem sama. Mam rodziców, siostrę, koleżanki, lecz czasami to nie wystarcza. Często czuję się tak samotna, że uciekam od wszystkiego. Nie wiem, co mam robić, tak po prostu nie wiem, co zrobić. Rozkładam ręce w geście zapytania i żałośnie kucam na rozstaju dróg mojego życia. Chcę znaleźć drogowskaz, który postawił dla mnie Bóg. Drogowskaz z wielkim napisem „nie bój się”. Którędy iść, żeby pokonać lęk? Zaufać Bogu, który wyciąga rękę, wskazując znaki życia... *Bóg jest zawsze z nami – otwórz przed nim serce, zacznij dostrzegać Jego niewidzialne ręce wskazujące twój drogowskaz życia. Każdy znajdzie na nich swój własny napis, który nigdy nie znika, nigdy nie prowadzi do błędnego miejsca...*

„Nie ma szczęścia, nie ma przyszłości człowieka i narodu bez miłości, tej miłości, która przebacza, choć nie zapomina, jest wrażliwa na niedolę innych, nie szuka swego, ale pragnie dobra dla drugich; miłości, która służy, zapomina o sobie i goto-

wa jest do wspaniałomyślnego dawania”.

Nigdy nie będzie istniał człowiek, jeśli nie towarzyszy mu miłość. Nigdy nie będzie istniał naród, jeśli człowiek go nie pokocha. Bez miłości to nie naród, to organ kierowany przez ludzi pozbawionych duszy. Musimy wybaczyć grzechy przeszłości, ale zachować o nich pamięć. Nie ma życia bez miłości, nie ma człowieka bez miłości, nie ma dobra i szczęścia bez miłości. Jeżeli przebaczam, to miłuję, jeżeli miłuję, to przebaczam. Jeżeli kocham – oddaję samego siebie dla innych, jeżeli oddaję samego siebie – kocham. Miłość oczekuje naszych kroków i gestów. Kochać bezinteresownie, kochać za nic – to właśnie miłość.

„Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest, nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”.

Posiadam ogromny skarb w postaci wolnej woli i rozumu. Wykorzystując wolną wolę, kocham świat takim, jakim jest, wytyczam granice wolności, odróżniam dobre rzeczy od złych. To wszystko posiadam. Wykorzystując rozum, czynię tak, aby świat, który kocham, był lepszy, aby nigdy nie przekroczyć granic wolności niepodległej republiki sumienia, aby nie pomieszać dobra i zła. To zdobywam – tym się dzielę. Kim jestem? Jeśli jestem sobą, to jestem wielka.

„Nigdy nie jest tak, żeby człowiek czyniąc dobrze drugiemu, tylko sam był dobroczyńcą. Jest równocześnie obdarowywany, obdarowany tym, co ten drugi przyjmuje z miłością”.

A nagrodą za dobro niech będzie uśmiech – najmniejsza odle-



głość między dwiema osobami, łyż szczęścia spływające niczym górski potok ze zbocza skał, oczy pełne niewymownej wdzięczności, przemawiające: „dziękuję”. Dziękuję Karolowi Wojtyła za to, co mi dał, a dał dobro, dał przykład, jaką być – być nie dla siebie, ale być dla innych. Jan Paweł II... człowiek o wielkim sercu i duszy, którego słowa wciąż poruszają umysły, dając nadzieję na lepsze życie. Człowiek o niebywałej dobroci, sercu przepelnionym współczuciem i miłością dla bliźniego. Przede wszystkim człowiek dla człowieka, człowiek dla Boga.

„Na Boże Narodzenie 1983 roku odwiedziłem zamachowca w więzieniu. Długo ze sobą rozmawialiśmy. (...) W ciągu całej rozmowy było jasne, że Alemu Ağcy nie dawało spokoju pytanie: jak się to stało, że zamach się nie powiódł? (...) I ciekawa rzecz... ten niepokój naprowadził go na problem religijny. Pytał się, jak to właściwie jest z tą tajemnicą fatimską. (...) Ali Ağca – jak mi się wydaje – zrozumiał, że ponad jego władzą, władzą strzelania i zabijania, jest jakaś potęga

wyższa. Zaczął więc jej poszukiwać. Życzę mu, aby ją znalazł”.

A czego ja szukam?

Karol Wojtyła był po prostu sobą. Nigdy nie udawał, ofiarowywał nam siebie takim, jakim był. Chcę uczyć się od Niego takiej spontaniczności, chcę uczyć się bycia sobą, chcę przebaczać jak On, być człowiekiem dla człowieka jak On. Pragnę nieść światu te same wartości, lecz w mój własny sposób. Jestem człowiekiem i nie wystarczy mi istnienie i przemijanie. Potrzebuję przeżywać, egzystować, odczuwać, rozpaczać, śmiać się, ale przede wszystkim muszę nauczyć się wybaczać. To, ile uczuć doświadczyć – to moje życie. To mój przepis na to życie, który odnalazłam.

Od czasu do czasu Pan Bóg zsyła na Ziemię takich ludzi, jak Karol Wojtyła, po to, abyśmy mogli uczyć się od nich rzeczy wielkich, jak przebaczenie, abyśmy nie pozwolili ulecieć motylowi czasu, abyśmy kochali cały świat – od maleńkiej mrówki po niezmierzone szczyty gór. Abyśmy wymagali od siebie.

Kamila Jendrzewska I. 17
Pod Wiatr 2007

Amerykańskie impresje

Trawa wszędzie jest zielona

Trawa wszędzie jest taka sama. To było moje pierwsze wrażenie. Pierwsze z nieskończonego wielu zdziwień i zaskoczeń.

Tego lata zdecydowałam się skoczyć w otchłań swoich marzeń. Pojechałam do miejsca moich wizji i wyobrażeń. Do przedmiotów, w których tkwiłam od małości, nigdy nie znając ich pochodzenia. Do ludzi, którzy piją poncz w czerwonych kubeczkach, oglądają baseball i kupują indyka na Święto Dziękczynienia. Do twarzy z ekranu. Do plastikowych modeli rzeczywistości. Do nierzeczywistości! I zdziwiłam się, bo wszystko istnieje. Można zjeść, dotknąć, poczuć, poczuć się jak w domu.

■ Mój plan podróży zakładał jeden cel: pozbyć się lęku. Pierwszy etap padł na trzy miesiące w lesie. Podpisałam kontrakt z zimowym resortem w stanie Wirginia. Mieszkałam w górach, pięć minut na piechotę do restauracji, w której pracowałam jako hostessa. Z dala od miast, maszyn, zgiełku i światła.

W naszym ciemnym leśnym padolku mieszkała gromadka studentów m.in. z Filipin, Turcji, Serbii, Czech i Polski. Wszyscy razem, dzieląc troski między sobą. Każda fraszka urasta do miary tragedii. Restauracyjne dramaty, walki z szefem, godziny i klienci. Pojawiały się rzecz jasna miłości, rozterki emocjonalne, międzykulturowe przyjaźnie. Na szczycie góry było SPA. Tam pływałam z sokołami zataczającymi nade mną koła na niebie. Nasze śmieci wynosiły szopy pracze, a niedźwiedzie dbały o segregację. Spałam z pająkami w jednym łóżku, a suseł zawsze odprowadzał mnie do pracy. I w górę, i w dół, jak słońce – po schodach, szlakach, po relacjach międzyludzkich, dzikim świecie uczuć i zaszumianych emocji.

W sierpniu przyszedł czas na spojrzenie w przyszłość. Dwie głowy wędrowały po mapie i Internetach w poszukiwaniu słońca i żółtych taksówek. Razem z przyjaciółką Zuzią stworzyliśmy tandem niezbyt doświadczonych, lecz niezwykle zapalonych podróżniczek bez prawa jazdy i współników akcji – gotowych do samodzielnej wyprawy w poszu-



Zdecydowałam się skoczyć w otchłań swoich marzeń...



Zuzia na wzgórzu w Parku Buena Vista, San Francisco

kiwaniu wolności. Powstał szczegółowy plan podróży: 6 września – miasto Waszyngton, 8 września – Oakland/Berkeley, Kalifornia, 10 września – San Francisco, Kalifornia, 14 września – Santa Cruz, Kalifornia, 16 września – Los Angeles, Kalifornia, 19 września – San Diego, Kalifornia, 21 września – Denver, Kolorado, 26 września – Nowy Jork.

Ameryka – kraj wolności i skrajnej akceptacji, za duży, by pogodzić tyle ludzkich istnień. Mimo to tam, gdzie byłam, spotkałam spokój, dobro i ciekawość wszystkiego, co inne, obce. Widziałam przepiękne galerie wypełnione po sufity złotem i srebrem sztuki. Widziałam budynki, o których mówi cały świat. Jednak nie to nauczyło mnie dojrzałości. To nie to noszę z dumą w sercu.

Moją Amerykę budują wspomnienia osobiste. Przypadkowe spotkania i przypadkiem dostrzeżone chwile. TO znalazłam, poznałam i włożyłam pomiędzy planety mojego wewnętrznego kosmosu.

Podsumowania mają to do siebie, że zamykają kilka miesięcy w prostej myśli, zgrabnym przekazie, zatracając detal dnia. Całe zmaganie się i docieranie rozwiązania ostatnim wrażeniem, które swo-

w ciepłym miąższu – można tylko wyobrazić sobie ten smak. Łatwo uczynić takie jabłko całym światem, ono sokiem rozplywa kontynenty, a wielką kulą przysłania horyzont. Jest tu całkiem normalne, zupełnie zwyczajne nosić je w kieszeni jako wielkie wzgórze na ciebie, jak jego część, jak dumę, maksimum urodzaju. Pogłaszcz to jabłko jak złotą pamiątkę. Uśmiechnij się do lustra i zwolnij.

Ja pobyt tutaj traktuję jak kolonię. Uczę się, jak mówić płynnie po angielsku, w kieszeni noszę słownik, a głaszczę tylko własne nogi ze strachu przed żyłakiem. Mam dużo pracy i trochę rozczarowań. Mam wokół siebie ludzi i wciąż nienazwaną reputację – w stawianiu się przed nimi, w przybieraniu min i kolorów. Czasami walczę ze sobą w środku. Czasami myślę, czy na pewno podjęłam dobrą decyzję. A czasami jestem zbyt na sobie skupiona – nie tak, by topić się i wędrować, wachać i dotykać, tylko tak generalnie, obserwując życie na osi czasu, mrużąc oczy, szukać niebotycznego drżenia.

„Ileż słów, ileż nazw dla samego zagubienia” – „Gra w klasy”, Julio Cortazar.

Noce w Wirginii

rzucają ciało na cień
niedźwiedziom na pożarcie
zaglądają w usta
nieruchomych białych brył
wciskają księżyc w nozdrza
czas stygnie na dnie
granatowego lasu
który nieruchomości
wiedzie prym

nawet kiedy słońce wstanie
noc ze mnie nie wypełni

● 24.08.2017

Impresje z pewnego końca

1. zbliża się czas
– brzask w brzuch i zamglone tchnienia
tu
prze aksamit krzyk
brzmi, nie wybrzmiewa
jakby białych ścian odbijał cień

2. Stone usta na słodkie języki.
Róże i brzozy, hiszpański śmiech.
Noce nie pachną

3. bo kto bębni w bębnek, dyktuje
tamnym takt
kto tupie nogą, zgniata cichy płacz
turbuje niewinnie letnie podrygi
tnie na kawałki leniwą gładką maż

4. szybko wypowiedane myśli porywa
kolowrotek i toczy je zawrotnie w dół gór
do miast, w których giną

● 8.09.2017

Przesiadka w Denver

Chociaż wiem, że nikt naokoło nie potrafi zrozumieć, co polskie „robaki” znaczą, wciąż DRŻĘ ze wstydu, gdy

im blaskiem i cieniem deformuje wspomnienia. Dlatego, żeby chociaż trochę zbliżyć moją subiektywną Amerykę do obiektywnego obrazu rzeczy, chciałabym w tym momencie przekazać głos mojej p r z e s z ł e j ja. Puścić wolno natchnione tamnym wiatrem słowa, bałagan impresji w porządku chronologicznym.

■ 2.06.2017

Pierwsze wrażenie: trawa jest wszędzie taka sama.

● 18.06.2017

Wirginia

Życie jest tu jak ogromne soczyste jabłko. Zbyt wielkie, by mogło być prawdziwe. Ma twardą skórkę, trudno przebić się do środka i zatonąć

piszę prosto z duszy jak na scenie. To STRACH trzyma dłoń, a dłoń długo-pis. Niepokój? Myśl o cudzej myśli.

Pachnie trawą, słońcem i zupełnie innym zewem. Może tylko dla mnie to przygoda, przecież dookoła dzieje się normalność. Siedzimy wszyscy razem w maszynie ze skrzydłami, żeby wreszcie rozprześcić swoje i latać zwyczajnie dookoła.

(Teraz pachnie zamkniętymi oczami i łóżkiem).

Myślę o tym, co zostawiłam w środku lasu, co gubi rysy w cieniu drzew. Jak w szklanej kuli codziennie potrząsanej na nowo. Obserwuję wielkim okiem poprzez zakrzywione szkło, a ono w dłoniach objęte, zaparowuje od oddechu.

(Na skrzydle za oknem egzotyczny ptak).

Kolejka Bart w kierunku Oakland

Kolejka **Bart** wiezie szczerze twarze przez mgły i wzgórze łąk kolorowych domków. Kruczowłosa dziewczyna robi na drutach – właśnie skończyła dziergać czapkę. Rudy kłębek wełny chowa do torebki. Na zewnątrz wieje chłód.

9.09.2017

Jeremie, Oakland

Nasz gospodarz nazywa się Jeremie. Dziś odjechał w głąb kalifornijskiej pastelowej puszczy. Jego chude ciało kolażysty na jeszcze chudszej rowerowej ramie zniknęło w głębi ulicy powiększonych domków dla lalek, palm i dziwacznych bram. Wczoraj przy ognisku szarpał struny lewą ręką i gwizdał, raz po raz przeciągle wciągając powietrze na dno płuc. Potem czytał swoje wiersze o samotnym dumaniu na skandynawskich łąkach. W pierwszym mówił o zaprzyjaźnianiu się z momentem, w drugim – o ciszy pomiędzy klaśnięciem, kiedy za zamkniętymi oczami jesteś tylko ty.

Nie od zawsze chciał być fotografem. To tylko sposób na zara-

bianie pieniędzy i czasem dobra zabawa, socjologiczna gra. Wynajmuje młodożęcom fotobudki na weselne pamiątki. To, co naprawdę chce robić, to pielęgnować ogródek, jeździć na rowerze, poznawać ludzi i śpiewać przy ognisku. Nigdy nie startował w wyścigach, jego roślinki wyschły podczas wakacji, nie jest najbardziej gadatliwy, a melodie skupia wokół jednego dźwięku. Niczego jednak nie robi po nic. Kamienie życia latają po stratosferze.

11.09.2017

Eric, San Francisco

To było tego dnia, gdy po raz pierwszy zobaczyłam koszulę, która dotykała bijących ognistym sercem żeber Kerouaca. Wtedy też dotarłam do Cafe Trieste, w którym Oni – bitnicy siadywali z cappuccino na podwójnym espresso i z panem baristą o brwiach skrzydlatych, i szafą grającą i poetą, co myślał. Toaleta była tam różowa, w lustrze ktoś wyźłobił kluczem *Lady Pink*. Słyszy deszczem, w deszczu, łapiąc sztuki miłości, do sztuki względów, miłości patrony. Tam była księgarnia – jak w Paryżu kompanii Szekspira, tu bitnika. Chodziłam wśród pótek, od słów do drzwi, od drzwi do obrazów, mówiąc na głos, śmiejąc się i krzycząc.

Tam spotkałam Erica. Zapytał tylko, skąd jesteście, jak banalnie, po czym spędził pół nocy, prowadząc przez miasto jak opiekun, jak przyjaciel z przeznaczenia. Ma 37 lat i pracuje w studiu nagraniowym o tradycji sięgającej czasów Grateful Dead jako stażysta od lat. Zarabia pieniądze, rozwijając fast food rowerem po wzgórzach. Żyje w San Francisco dla spacerów po Golden Gate Park i marzeń. Chciał zostać perkusistą, teraz patrzy, jak inni odnoszą sukces. Gra kiedy tylko może, ale czas, w którym poświęcił wszystko inne,

ściągnął go na dno. Teraz czyta książki i ma nadzieję. Jest ciekawy i słucha, dba i pamięta. Wciąż uśmiecha się do świata i nie prosi, tylko daje. Jest mu źle, kiedy widzi, że ci, którym nie zależy – wspinają się na szczyt. Oni jedzą jego miłość łyżeczką po łyżeczce.

Przeszliśmy nocą pół miasta, śmiejąc się i gadając, patrząc na światła i wysokie budynki. Zaprowadził nas na najlepsze burrito w mieście. Do Tenderloin, gdzie ludzie biegają po ulicach, stoją wpół złamani, z dzikim okiem wstrzykują w żyłę płyn, stojąc pomiędzy gazetnikami. Gdzie chodzą gangi, a bezdomni pchają ogromne wózki. Eric mknął jak strzała i pozdrawiał wszystkich miło.

Wracając do domu, zaszedliśmy pod Filharmonię i Centrum Jazzu. Przez szybę widzieliśmy krzesło, na którym Eric siedział, kiedy jeszcze grał. Potem miał kontuzję i przestał. Lecz uśmiecha się i trwa.

13.09.2017

Nocny jazz, San Francisco

Poezja jest kiedy w życiu nie ma rymu, kiedy dzieje się nie w takt, kiedy ktoś gra za szybko tonie w maśle, nie wie jak poezja jest kiedy fruwa ptak i wieje wiatr i wieje poezja jest kiedy ktoś zamyka oczy kiedy nie ma już siły na otwarte kiedy nie ma złości a życie jak jazz ślizga się po tonach, kiedy cień ukrywa tylko część.

15.09.2017

W muzycznej komunie, Santa Cruz

Dotarłam na koniec świata, by zatęsknić, by zrozumieć, że wszędzie są ludzie. Patrzę na miejsce, o którym zawsze marzyłam. Miejsce wolnej sztuki, młodych artystów w środku lasu. Czuję się taka sama jak oni, a jednak coś mi nie pozwala być uczestnikiem. Czy podróżnik może być tylko obserwatorem?

Kiedy śpiewali, tak bardzo chciałam dołączyć, szyją, uchem, palcami – wyciągałam je w górę i było mi przykro. W obliczu muzyki jest mi przykro, jak pływakowi nad morzem, któremu trauma nie pozwala dotknąć wody. Chciałabym zanurzać się i topić, czuć opór i chłodne dźwięki tańczące po skórze jak perłowe bąbelki, żeby po otwarciu ust melodia wlewała się do płuc i rozlewała po klatce wodospadem pasaży.

Oni są w muzyce cały, całutki czas. Bez chwili przerwy. Muzyka jest dla nich jak oddychanie. Pracują w sklepach i restauracjach,

żeby mieć za co jeść, uczyć się lub bawić. Jednak ŻYJĄ dla muzyki, żyją dla oddychania tylko.

16.09.2017

W drodze do Los Angeles

Mijam stopy, łąki rozsiane, lasy krzaczaste. W autobusie żółto od kalifornijskiego słońca. Ktoś chrapie jak ocean. Mój mokry strój kąpielowy dynda na krzeselku. Horyzont to tylko miękka kreska oddzielająca błękit od błękitu. Wokół meksykańskie twarze z meksykańskim okiem – ostrożnego badawczego spojrzenia krótkowidza. Myślę, że zakochałam się w tej wiosce, którą w duchu przeklinałam, i w ludziach, którzy krępowali mnie i zawstydzali. Konflikt w głowie polegał na przestawieniu się z bycia poza w bycie wewnątrz. Zwykła przeprowadzka myśli. I dopiero wtedy poczułam się częścią. I wtedy przyszła noc, spadła gwiazda.

22.09.2017

Denver

Denver przypomina wielkie rancho schowane w jesieni. Kompletnie poza światem – wioska wśród skał. Ludzie chodzą w kapeluszach, wieszają kamienie szlachetne na szyjach, a suche łokcie smarują żywicą. Ludzie z Denver nie trzymają się miejsca. Gotowi są wskoczyć na konia i ruszyć na wyprawę, ot tak.

Nowy Jork był jak sen. Zakręcona, by zobaczyć wszystko, biegałam od ścian do ścian, szczęśliwa i oszalała. To miasto dzungla, kompilacja twarzy i zdarzeń. Milion bodźców na sekundę i niezrozumiały czar. Coś sprawia, że ten tłum i zgłębienie znajduje ujście. Coś pozwala odnaleźć swoje miejsce. Coś Cię wita i ugascza. Każdy mile jest widziany. Nie spotkaliśmy się ostatni raz.

■ Bałam się powrotu – powiedziałam o tym raz, głośno, jak nadszana nastolatka. Bałam się, że nie znajdę tam piękna. Tam – tu. Ale trawa wszędzie jest zielona, a moje oczy widzą to teraz tylko wyraźniej. Każda podróż pozostawia ślad w umyśle. Nikt nigdy nie jest po niej taki sam. Budujemy swoje światy wewnętrzne przez to, czego doświadczamy, na co się uwaźliwamy i otwieramy.

Bez względu na to, gdzie będę jutro, wiem, że z głową pełną wspomnień i czujnym wyćwiczonym okiem wypatrzę więcej. A moja podróż, Kalifornia, noc w Wirginii czy słoneczna plaża w Los Angeles zostaną ze mną już na zawsze.



Brooklyn Bridge, Nowy Jork

Marzenia do spełnienia

7 października dwudziesta szósta inauguracja Warsztatów przeszła do historii. Z udziałem Zbigniewa Ostrowskiego – Wicemarszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego, Bogny Róźyczki – Wicedyrektora Młodzieżowego Domu Kultury, redaktora Marka Rzepy – przedstawiciela dyrekcji Rozgłośni Polskiego Radia Pomorza i Kujaw, redaktorów Ryszarda Murawskiego i Zdzisława Pajaka – związanych z Warsztatami od początku, licznego grona członków Stowarzyszenia Sympatyków Dziennikarstwa Młodzieżowego, rodziców i nauczycieli – kilkudziesięciu pasjonatów i pasjonatek mediów przeżyło pasowanie na adeptów sztuki dziennikarskiej.

Jak z niego skorzystają? Jaki skutek da w przyszłości pasjonowanie się kilkudziesięciu dziewcząt i chłopców sztuką opisywania faktów, chwil i wydarzeń? Co trwale zostanie wpisane w indywidualne życiorysy? Co z tego, co było, mimo wirującego tańca trendów i różnorodności, nie da się wyprzeć z albumu intelektualnych pamiątek? Czy dzięki wielu godzinom zaspokajania ciekawości i dyskusji w języku niewypartym jeszcze przez skróty SMS-a – uda się zrozumieć, na czym polega sens bycia? Spośród ponad dwóch tysięcy absolwentów Warsztatów wielu znalazło krzepiącą odpowiedź na te pytania.



Inauguracja dwudziestej szóstej edycji Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich miała szczególny charakter. Nadało jej uhonorowanie Mirosława Twaroga – ich twórcy – **Medalem Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego „Unitas Durat Palatinanus Cuiavianio-Pomeraniensis”** w uznaniu zasług na rzecz Województwa Kujawsko-Pomorskiego i jego mieszkańców.

Zbigniew Ostrowski, Wicemarszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego, wręczając laureatowi medal, przypomniał między innymi, że od 1992 roku nieprzerwanie Mirosław Twaróg prowadzi w Bydgoszczy Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie – swój autorski, edukacyjny projekt multimedialny. Dzięki temu przedsięwzięciu od ćwierć wieku popularyzuje wśród młodzieży z regionu Kujaw i Pomorza, a także spoza jego obszaru, zasady warsztatowe i etyczne tego trudnego zawodu. Wiele energii poświęca nie tylko praktycznej nauce dziennikarstwa prasowego, radiowego i telewizyj-



Na zdjęciu: Mirosław Twaróg z Medalem Marszałka „Unitas Durat Palatinanus Cuiavianio-Pomeraniensis”, z prawej Wicemarszałek Zbigniew Ostrowski

nego, ale i upowszechnianiu kultury języka polskiego oraz aspektom etycznym pracy dziennikarza. Mirosław Twaróg jest nie tylko twórcą Warsztatów, ale jest przede wszystkim wzorcem dla młodego pokolenia – podkreślił Zbigniew Ostrowski.

– W imieniu Pani Prezes i pracowników Rozgłośni Polskiego Radia Pomorza i Kujaw składam serdeczne gratulacje panu Mirosławowi Twarogowi z okazji uhonorowania Medalem Marszałka Województwa. Dołączamy życzenia dalszych sukcesów w trudnej sztuce kształcenia młodych dziennikarzy – powiedział w swoim wystąpieniu redaktor Marek Rzepa, od kilkunastu lat współpracujący z Warsztatami. – Uczestników XXVI Warsztatów chciałbym zachęcić do pilnego uczestnictwa, szczególnie w zajęciach radiowych. To wspania-

ła okazja do poznania podstaw dziennikarstwa radiowego. Oprócz praktycznej nauki redagowania dzienników, tworzenia reportaży czy audycji muzycznych, zapoznanie się też z najnowocześniejszym sprzętem reporterskim i technologią aparatu mowy i słuchu, aby w pełni wykorzystać je podczas prób w studiu przy mikrofonie. Interesującą propozycją będzie też konkurs dla uczestników Warsztatów na scenariusz audycji radio-

i umiejętności dziennikarza radiowego.



Przekroczyliśmy Rubikon i... zwyciężyliśmy. Wszyscy – pomysłodawca, ponad stu wspaniałych nauczycieli: dziennikarzy i realizatorów Ośrodka Regionalnego TVB i Rozgłośni Polskiego Radia Pomorza i Kujaw, przez dwadzieścia pięć lat niezmiennie życzliwych dla idei „bydgoskiej szkoły talentów dziennikarskich”, decydenci sprzyjający unikalnemu projektowi i ponad dwa tysiące absolwentów. Na tworzenie klimatu dla rozwoju kreatywności myślenia adeptów ma wpływ również działalność Młodzieżowego Domu Kultury nr 4 w Bydgoszczy, w którego strukturze – po licznych poprzednikach – dziewiąty rok znajdują się Warsztaty.

Warsztaty stały się ambasadorem Bydgoszczy w dziedzinie niezwykle atrakcyjnej dla młodzieży szkolnej, a opinia o ich walorach dydaktycznych i wychowawczych dawno przekroczyła granice Kujaw i Pomorza. To znak aspiracji młodzieży do samorealizacji intelektualnej i szukania satysfakcji poprzez unikalną formę poznawania ludzi, świata, technik komunikacji między nimi. I poznawania samych siebie.



Na dziennikarski Olimp wiedzie droga długa i wyboista, ale jednocześnie barwna i fascynująca. Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie poruszają wyobraźnię, pozwalają poznać przedsmak tej fascynacji. Z towarzyszącym im profesjonalizmem i niepowtarzalnym klimatem przyjaźni, kultury oraz partnerstwa mistrzów i uczniów



Uczestników inauguracji XXVI Warsztatów wita Wicemarszałek Zbigniew Ostrowski



Początek drogi na dziennikarski Olimp...?

– trafiają w sedno oczekiwań utalentowanych młodych ludzi. Z każdą kolejną edycją orientujących się coraz lepiej, jaki wkład mogą wnieść w decyzję o wyborze zainteresowań i zawodu. A później – jaki wnieśli.

Marzenia do spełnienia. Zilustrował tę tezę artystycznym występem instrumentalno-wokalnym, wieńczącym inaugurację, Cezary Fanslau – nauczyciel fizyki, od najmłodszych lat zafascynowany muzyką rozrywkową. Natura samouka nakazała mu nauczyć się grać na kilku instrumen-

tach, wokalista, kompozytor, potem – jako absolwent UMK – pasjonujący się fizyką, dydaktyk zajmujący się zagadnieniami sztuki uczenia się oraz sztuki nauczania metodą stymulowanego rozwoju intelektualnego dzieci w wieku przedszkolnym, autor między innymi „Fizyki Bajkowej”, stanowiącej wprowadzenie do fizyki dla dzieci, oraz poliglota – władający ośmioma językami. Spełnił swoje marzenia. Wykonując z maestrią kilka popularnych standardów światowych, wywołał aplauz widowni.



Cezary Fanslau podczas koncertu



Dogonić marzenia i być szczęśliwym. Aby tak się stało, trzeba spełnić dziennikarski warunek, który można wpisać do każdej Księgi Życia. Absolwenci bydgoskich Warsztatów mają go wpisany do świadectw, aby mogli zapamiętać. „Żeby uprawiać dziennikarstwo – napisał kiedyś Ryszard Kapuściński – przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem. Żli ludzie nie mogą być dobrymi dziennikarzami. Jedynie dobry człowiek usiłuje zrozumieć innych, ich

intencje, ich wiarę, ich zainteresowania, ich trudności, ich tragedie. I natchmiasz, od pierwszej chwili, stać się częścią ich losu”.

Skomplikowana rzeczywistość bardzo potrzebuje ludzi tworzących cywilizację dobra w każdym miejscu toczącego się życia. „Potrzebuje człowieka – jak przypominał Wielki Polak Jan Paweł II – stojącego się wielkim nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”. Tworzenie cywilizacji dobra to też misja dziennikarza.

Redakcja

Na fali wspomnień...

Podróż

Życie to podróż, to droga, która wiedzie nas przez wzgórza, doliny, kolejne zakręty. Nie możemy się zatrzymać, zawrócić, musimy iść zawsze do przodu, nawet wtedy, gdy wiatr sypie piasek w nasze oczy. Gdy wchodząc pod stromą górę, nie widzimy jej szczytu, nie wiemy, co jest dalej.

Kolejne dni, kolejne decyzje i pytanie: czy dobrze postąpiłam? Nie wiem, czy to, co robię i czy decyzje, które podejmuję, są właściwe.

Nadchodzi jesień. Zawsze o tej porze, kiedy patrzę na alejki zasypane pomarańczowymi liśćmi, kiedy przez gałęzie drzew przedzierają się promienie ciepłego jesiennego słońca, zadaję sobie pytanie: którą drogą pójść, żeby dojść do mojego celu? Czy lepiej wybrać prostą, łagodniejszą dróżkę czy może pełną zakrętów i wyboistą drogę pomiędzy krzakami? Co da mi satysfakcję: szybkość osiągnięcia celu czy może przeszkody, które pokonałam i z którymi wygrałam... albo przegrałam, walcząc do końca. Wiem, że wolę iść pod górę, zastanawiać się, co mnie spotka za kolejnymi zakrętami i spełniać marzenia, mając świadomość, jak wiele wysiłku mnie kosztowało pokonanie każdego kilometra.

Nie jestem sama w mojej nieustannej wędrówce, są przyjaciele, którzy idą obok, czasem milczący, innym razem rozgadani, roześmiani, ale zawsze dopingujący: „Uda ci się, wierzę w to”... Ja też wierzę, ale czasami jest trudno, kiedy z kolejnym krokiem wzmagają się ból, zmęczenie... „Pokonamy to, nie martw się, wiem, że damy radę” – te słowa są jak lek. Cicha obecność przyjaciół jest najlepszą pomocą, a kiedy ja wypowiadam słowa pocieszenia, wiem, że to wszystko... nasza podróż... życie... wiem, że wszystko ma sens.

Dzień, za dniem, krok za krokiem bliżej tego, co czeka mnie na końcu podróży. Powoli zapada jesienny zmrok. Zachody słońca o tej porze roku są bardziej pomarańczowe, wielka orkiestra świata gra głośną, ale spokojną muzykę, pomagając nam, ludziom, zastanowić się nad sensem naszego życia i naszych decyzji. Wiem, że wszystko się uda...

Stoję na rozstaju dróg, to ja sama muszę zrobić kolejny krok, widzę tysiące drogowszkazy, wsłuchuję się w siebie, w muzykę i wiem, czego pragnę... Spełnienie moich marzeń jest tysiące kilometrów stąd, pewnego dnia tam dotrę, może już za rok pójść na samotny jesienny spacer. Spojrzę na zachód słońca i wybiorę kolejną drogę, zrobię następny krok... bo takie jest nasze życie... Nieustanną podróżą.

Aleksandra Sasinowska I. 17

Pod Wiatr 2006

collage Anna Jaracz I. 18 (archiwum)



...literatury, sztuk plastycznych i fotografii

Nie chowajcie talentu do szuflady

„Witryna literatury, sztuki plastycznej i fotografii” kończy dwudziesty czwarty rok inspiracji i prezentacji podwiatrowych twórców. W historii POD WIATR czas miniony, który dzisiaj wieńczymy ostatnim wydaniem czasopisma, był okresem pięknym i owocnym dla kilkuset młodych autorów, dla których poezja i proza stanowiły istotny element życia, między innymi dla 1213 młodych twórców z kraju i zagranicy, którzy nadesłali ponad 8 tys. utworów poetyckich i prozatorskich na piętnaście Konkursów Literackich o trofeum „Wiatraka”. W „Witrynie...” akcentowaliśmy z jednakową uwagą wszystkie elementy artystycznej wizji: literaturę, sztuki plastyczne i fotografię. Zapraszaliśmy na nasze łamy tych spośród Was, którzy w pokładach swojej młodej wyobraźni szukali inspiracji nie tylko dla słów. Szukali jej i znajdowali w obfitej pałecie barw, konturów, kresek, linii, światłocieni. W korespondencji do nas znajdowaliśmy z dumą pokazywany owoc naszych zachęt i inspiracji w postaci tomików poezji i prozy ilustrowanych

przez utalentowanych miłośników sztuki plastycznej, którzy debiutowali niegdyś w podwiatrowej „Witrynie...”.

Zamykamy naszą wspólną artystyczną historię apelem – nie chowajcie talentu w szufladzie. Dzielcie się nim z wszystkimi, którzy w czasach skomplikowanej rzeczywistości pragną szukać wytchnienia w obcowaniu z pięknym słowem, kojącym niepokoje i rozterki. Piszesz poezję, prozę, recenzje, malujesz pejzaże, rysujesz formy, twarze, czarno-białe szkice oddającej głębię Twojej młodej artystycznej i ludzkiej wrażliwości, fotografujesz życie uchwycone na gorąco albo zastygłe w pięknie? Podziel się swoim talentem wszędzie tam, gdzie będzie on oczekiwany, niezbędny dla ludzkiej natury potrzebującej piękna, inspirujących wartości i jasnego spojrzenia w przyszłość. Jeśli wspomnienie POD WIATR i naszej „Witryny literatury, sztuki plastycznej i fotografii” wzniesi w Tobie, młody człowieku, zapal i odwagę – wciąż będziemy razem.

Redakcja

Nadesłane z Holandii

Droga Redakcjo „Pod Wiatr”

Z przyjemnością dzielimy się z Wami kilkoma pięknymi fotografiami nadesłanymi na konkurs dla dzieci „Polska w obiektywie polonijnego dziecka”. To już IV edycja konkursu, druga międzynarodowa. Poprosiliśmy dzieci i młodzież polonijną z całego świata, aby pokazali nam zrobione przez siebie fotografie „swojej Polski”. Jaka jest Polska oczami najmłodszych polonusów? Co w niej najciekawsze, najpiękniejsze, warte pokazania? Gdzie dzieci polonijne spędzają polskie wakacje? Jakie emocje pokazują na zdjęciach? Co lub kogo fotografują? Odpowiedzi znajdziemy w fotografiach nadesłanych na konkurs. Polska jest na nich różnorodna, ciepła, pełna pięknych krajobrazów, przyrody, zwierząt, zabytków, miejsc i ludzi.

W konkursie rywalizowało w tym roku 208 zdjęć od uczestników z 13 krajów. Miło nam przekazać informację o wynikach konkursu. Jurorzy wybrali 10 najciekawszych zdjęć. Dodatkowo przyznaliśmy dwie nagrody publiczności.

Jurorzy wybrali, a organizatorzy nagrodzili 10 najciekawszych zdjęć. Pierwsza wystawa prac konkursowych oraz gala wręczenia nagród odbyła się 22 października w czasie polsko-holenderskiego **Polonijnego Dnia Dwujęzyczności** w Bredzie, w Holandii. Gratulujemy gorąco nagrodzonym oraz wszystkim uczestnikom! Zapraszamy do kolejnej edycji konkursu, ale przede wszystkim zachęcamy do odwiedzania i fotografowania Polski.

Z maili od rodziców uczestników Konkursu:

„Wygrana w tak wartościowym i ciekawym konkursie to dla Eleny prawdziwe wyróżnienie, a dla jej rodziców zaszczyt. Z prawdziwą przyjemnością podzielę się tą informacją z włoskim środowiskiem polonijnym”.

„Bardzo dziękujemy organizatorom za zorganizowanie tak fajnego i ciekawego konkursu (będąc w Polsce, Adrian miał mega wyzwanie ZROBIĆ SUPER ZDJĘCIA, zaczął bardziej zauważać i podziwiać przyrodę)”.

„Dziękujemy za informację. Już widzę, jak Gabriela będzie się cieszyć, tym bardziej że całe lato było pod znakiem właśnie tego konkursu”.

Serdecznie pozdrawiam Zespół Redakcyjny i Czytelników Waszego czasopisma

Agnieszka Lonska

Forum Polskich Szkół w Holandii

ZDJĘCIA WYKONALI:

1. **Laureat** Karol Wolinski, l. 12, uczeń Polskiej Szkoły Ogniwo w USA – *Zamek w Ogrodzięcu*

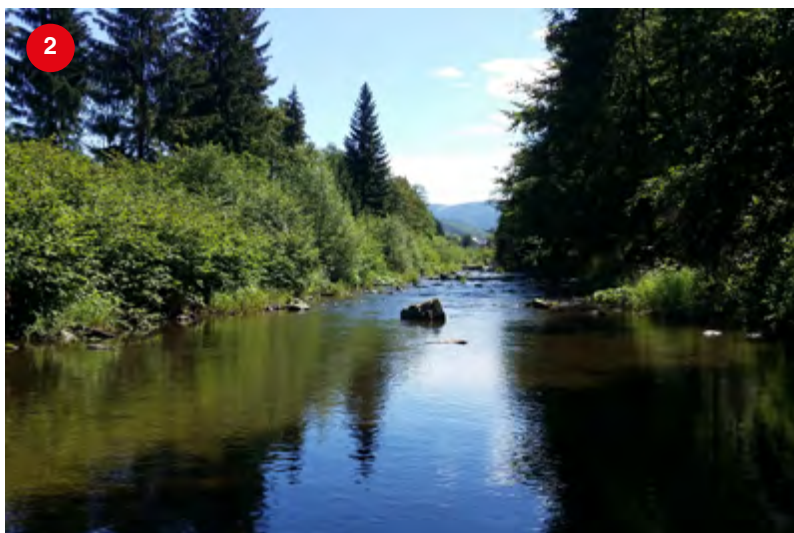
2. **Laureat** Norbert Gatnar, l. 14, Holandia – *Wisła*

3. Isabella Nemeth, l. 9, Austria – *Zamek krzyżacki samotny po deszczu w słońcu – Toruń*

4. Fiodar Zieniucicz, l. 12, Białoruś – *Dunajec. „...Tylko gniewny Dunajec srebrną brzdę gładzi I długie rozmowy z echem gór prowadzi...”*

5. Elena Pasquariello, l. 9, Włochy – *A to Warszawa! – widziana podczas deszczu z punktu widokowego w Muzeum Warszawy*





Na fali wspomnień...

Katharsis

Gasną światła...

Milkną rozmowy...

Ciemność przecina migocząca smuga, która rozlewa się w barwny obraz.

Zaczął się film.

Siedząc wygodnie jak podczas hipnozy, powoli zapadam w trans. Do uszu dociera muzyka zapowiadająca charakter filmu. Im bardziej jest dynamiczna, tym większe będzie tempo akcji. Dźwięk i ciemność tworzą szczególną atmosferę tajemniczości, pobudzającą ciekawość i wyobraźnię. To właśnie ten specyficzny klimat sprawia, że mimo licznych widzów siedzących naokoło, zachowuję pewną dozę intymności. Mrok pozwala w nieskrępowany sposób wyrażać emocje, na które nierzadko nie pozwoliłabym sobie w „pełnym świetle” przy nieznanym mi ludziach.

W kinie mam wrażenie, że jestem tylko ja i ekran. W jednej chwili cały świat zewnętrzny przestaje istnieć. Nieważne stają się problemy i obowiązki, które zostały za drzwiami sali. Liczy się to, co jest TU i TERAZ. Na tę krótką chwilę staję się kimś innym. Uważnie śledząc bohaterów, samoistnie utożsamiam się z jednym z nich. Moje odczucia i reakcje są podporządkowane uczuciom wybranej osoby. Cieszę się, kiedy postać filmowa osiąga sukces, martwię się jej porażką, odczuwam ulgę, kiedy wychodzi z opresji.

Czasem ukradkiem spoglądam na twarze widzów. Błękitna łuna światła bijąca z ekranu podkreśla grymasy wyrysowane emocjami. Łatwo można zorientować się, kto jaką postacią filmową popiera, a zatem jakimi wartościami kieruje się w życiu. Może na tym polega magia kina...?

Na tę krótką chwilę mam okazję być kimś innym... Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za podjęte decyzje, nie liczę się z ryzykiem błędu, ponieważ – na ogół – wiem, jak skończy się śledzona historia. Film pozwala mi odprężyć się, zapomnieć na jakiś czas o własnych

problemach, niepowodzeniach. Wtłacza w moje życie ładunek różnego rodzaju energii. Wszystko zależy od nastroju, w jakim się znajduję.

Niekiedy chodzę do kina dla rozrywki. Kiedy indziej potrzebuję po prostu jakiejś zmiany, swoistego katharsis. Dają mi to filmy o zawilej fabule, głęboko psychologiczne, gdzie bohater przechodzi swoistą metamorfozę. Również „film drogi” działa na mnie oczyszczająco. Widząc postać, która próbuje ułożyć sobie życie po swojemu: błędzi, buntuje się i walczy nawet wtedy, kiedy przegrana jest z góry przesądzona, roziskrza się we mnie płomyk nadziei, że nie tylko ja nie radzę sobie tak, jak bym tego chciała.

Zawsze staram się odczytać z oglądanej historii jakieś uniwersalne prawdy, iluzoryczny (?) przepis na życie, a także wyłuskać informacje na temat nieznanego mi świata i jego społeczności. Podsuwa mi to pewne porównanie środowiska, w którym egzystuję. Niekiedy, dzięki siłom wyższym, żyję, właśnie tak, jak dotychczas. Nierzadko jednak wzdycham za lepszymi warunkami. Wzruszają mnie – lub przerażają – nie tylko oglądane miejsca, ale także postawy bohaterów. Niedoścignionym wzorcem jest w moich oczach osoba posiadająca tak wielką pasję i namiętność do tego, co robi i w co wierzy, że gotowa jest poświęcić dla tego wszystko. Imponują mi ludzie odważni, chłonący życie pełną piersią. Najczęściej jednak z taką postawą spotykam się tylko w kinie.

I pomyśleć, że **scenariusz życia pisze każdy z nas**. Z większym lub mniejszym udziałem otoczenia. Dlaczego zatem jest tak wiele dramatów, tragedii, a nawet horrorów? Ja nie chcę być statystą w swoim własnym filmie. Przecież mogę zagrać tylko w jednym.

Alicja Przybylska I. 18
Pod Wiatr 2004

Witryna... Na fali wspomnień

Powrót do Soplicowa

Poddaję się wyobraźni. Paryskie mieszkanie poety. Mickiewicz stoi wśród przyjaciół z rękopisem „Pana Tadeusza” w dłoniach. Zmęczoną, poważną twarz okalają długie bokobrody. W głębokiej ciszy rozlega się głos wieszczka:

„O tym-że dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku
Przekleństw i kłamstwa (...).”

Wracam do realiów. Bydgoska Kawiarnia Artystyczna „Węgliszek”. Miłośnicy wspaniałego aktorstwa i pięknej poezji zasłuchani i wpatrzeni w **Krzysztofa Kolbergera** – odtwórcę roli Mickiewicza w filmie Andrzeja Wajdy – poddają się klimatowi spotkania autorskiego „**Powrót do Soplicowa**”.

– „Bóg dał panu dobry głos – powiedział Wajda, kiedy zaprosił mnie na próbę charakteryzacji – wspomina aktor. – Wcześniej zaproponował tę rolę Czesławowi Miłoszowi, ale ten odmówił. Uważał, że kręcenie „Pana Tadeusza” to niedobry pomysł. Charakteryzacja trwała trzy godziny. Wzorowano się na rzeźbie Dunikowskiego. Założyłem potem okulary i spojrzałem w lustro. To, co zobaczyłem, skojarzyło mi się z „Planetą małp”. Dotknąłem brody, którą nosi się, by ukryć coś fizycznego albo coś wewnątrz. Miałem wrażenie, jakby spoglądała na mnie obca osoba.

Wpatruję się w łagodne rysy mężczyzny w średnim wieku. Elegancki grafitowy garnitur koresponduje z gołębim kolorem włosów. W oczach ukrytych za szklami okularów szukam wieszczego spojrzenia z ekranu. Czy tak mógłby wyglądać dwudziestowieczny Mickiewicz?

– Zagrałem – to duże słowo. Zamiast planowanych dwóch scen, nakręciliśmy znacznie więcej. W filmie pojawiły się różne ujęcia: całej sylwetki na tle okna, ujęcia moich stóp, cienia ręki odbitej w szkle, za którym wisiał obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Zawsze staram się mówić prosto poezję, ale tu obawiałem się nadrecytacji. Wajda poradził mi: „Niech pan nie recytuje, tylko szybko czyta tekst. Obraz namaluje resztę”. Stałem. Skupiłem się. W obecności Matki Bożej Częstochowskiej tak mnie ścisnęło, że nie mogłem inaczej, tylko szeptem. Pan Wajda miał rację.

Próbuję przypomnieć sobie sceny z filmu. Gra cieni, światła i wiekopomne słowa unoszone na dźwiękach muzyki. Jakby harmonicznie zespolona całość.

– „Pan Tadeusz” jest przesycony grą słowną. Pamiętam scenę, którą konsultowałem z reżyserem. Księga VIII. Telimena robi awanturę Tadeuszowi. W scenariuszu pominięto trzy wersy, w efekcie czego scena kończy się kwestią: „Głupia”. Nie było to śmieszne. Każdy brak rymu powoduje zgrzyt. Zaproponowałem, by dołączyć wersy, jak w oryginale. Miałem kilka sekund na wyrecytowanie:

„Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,
I której żaden nigdy nie słyszał Soplica,
Zadrzał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,
Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł:
Głupia!”

Wajda zgodził się. Zdążyłem.

W kawiarni rozlega śmiech. Krzysztof Kolberger zaczarował słuchaczy ujmującym głosem i humorem, z jakim opowiada.

Klaps, klaps – błysk fleszy.

– Janda powiedziała: „Proszę wrócić, lewy profil mam lepszy” – aktor przerywa monolog, spoglądając na fotoreportera, jak na nieszkodliwego intruza. Po chwili kontynuuje.

– Za moją rolą stoi dwadzieścia siedem lat obcowania z Mickiewiczem. Po raz pierwszy nagrałem „Pana Tadeusza” w całości dla biblioteki mówionej Związku Niewidomych. Miałem dwadzieścia sześć lat. Wiele osób mówiło mi, że nie zdaję sobie sprawy, ile pokoleń wychowało się na epopei narodowej w mojej interpretacji. Dzisiaj byłaby inna. Obarczona większą odpowiedzialnością, strachem. Grałem Pana Tadeusza w spektaklu Jana Englerta, wystawianym w Australii, Kanadzie, USA. Ostatnio przestałem śmiać się z Heleny Modrzejewskiej, która występowała w roli Julii przez czternaście lat. Grałem Tadeusza, który liczył lat blisko dwadzieścia.

Wzajemnie życzliwi i ciepły klimat spotkania sprzyja pytaniom i zwierzeniom.

– **Które role pan woli: współczesne czy klasyczne?**

– Dwadzieścia lat temu stanąłem przed gmachem Teatru Narodowego w Warszawie. Moim pierwszym dyrektorem i nauczycielem był Adam Hanuszkiewicz. Wykreował we mnie wizerunek aktora grającego w sztukach klasycznych. Najlepiej czuję się w rolach pisanych wierszem. Muszę wówczas stworzyć wrażenie, jakbym mówił prozą.

– **Na ile czuje się pan związany z teatrem, a na ile z filmem?**

– Pierwsze siedem, osiem lat w Teatrze Narodowym wspominać jako świadomą grę, czas najbardziej owocny. Potem brak wyobraźni, ztracenie w tym, co się robi. Powiedziałem sobie, że po odbudowaniu po pożarze wrócę do teatru. Wystąpiłem wtedy w „Tańcu śmierci” z Joanną Chodakowską i Danielem Olbrychskim. W Teatrze Narodowym czuję się najbezpieczniej pod względem socjalnym, bytowym. Ostatnio grałem Stańczyka w „Weselu”. Krótka rola. Wchodzi się na scenę i idzie do domu. Minus jest taki, że przedstawienie trwa trzy godziny, więc na oklaski czekam dwie. Tym bardziej że w kostiumie nikt mnie nie pozna.

– **Czy nie myślał pan o roli w popularnych obecnie telenowelach?**

– Występowałem w serialach artystycznych: „Trylogii”, „Ziemi obiecanej”, „Modrzejewskiej”. Teraz mamy potrzebę obserwowania losów rodziny. Nie mógłbym pozwolić sobie na to, by przez dziewięć miesięcy obcować z tym samym reżyserem, aktorami.

– **Jakie są pana najbliższe plany sceniczne?**

– Chciałbym wyreżyserować do czerwca „Fircyka w zalotach” Zabłockiego.

Atmosferę spotkania rozprasza sygnał alarmu.

– Komuś kradną samochód. Mam nadzieję, że mój stoi. Nissan primera z warszawskimi rejestracjami. Gdyby ktoś z państwa był tak uprzejmy... – żartuje aktor.

Błyskawicznie reaguje na dźwięk telefonu komórkowego:

– Jak Wajda, to proszę powiedzieć, że jestem zajęty.

Od dłuższego czasu obserwuję dwie panie siedzące przede mną. Najwyraźniej zauróżnione fizys pana Kolbergera. W końcu jedna zbiera się na odwagę i pyta:

– **Nosił pan brodę przez siedem lat. Co chciał pan ukryć?**

– Szczerze? Młodość. Miałem chłopięcą, delikatną twarz, a broda dodawała lat. Prawdopodobnie nosiłbym ją dłużej, gdyby nie pijany charakteryzator. Występowałem w filmie Kazimierza Kutza w roli polskiego żołnierza ze Śląska, który powraca do domu po wojnie. Trzy dni zdjęciowe. Przychozę rano na plan. „Pan Kazimierz powiedział, że ma pan zgolić brodę” – informuje charakteryzator. Byłem zdziwiony. Ale jak zgolić, to zgolić – pomyślałem. Moje zdziwienie było jednak niczym w porównaniu z zaskoczeniem pana Kutza. Inteligencja polega na dostosowaniu się do przeciwności. Nakręciliśmy scenę, jak wojak wraca do domu w mundurze wojskowym. Matka wystawia mu miskę z wodą, a ten myje się i goli brodę.

Krzysztof Kolberger śmieje się na wspomnienie. Siada wygodniej w fotelu i przekłada mikrofon do drugiej ręki. „Ja, jako małowówny i nieśmiały człowiek...” – przypominam sobie słowa, które wypowiedział ironicznie na początku spotkania. Zdaje sobie sprawę z gawędziarskich i pełnych dygresji wypowiedzi.

– **Chciałabym podziękować za wiersze, które pan recytował w programie „Lato z radiem” w 1976 roku. Wydawało mi się, jakby mówił pan tylko do mnie – zwierza się starsza pani.**

– To był wspaniały pomysł. Lato z poezją. Szczególnie w czasie bojkotu prasy, radia i telewizji. Pamiętam, że ludzie o określonej porze włączali odbiorniki i zasłuchani wygrzewali się w słońcu na plaży – wspomina z nostalgią aktor.

Nietrudno mi uwierzyć w sugestywność recytacji Krzysztofa Kolbergera. Niski, melodyjny głos niesie wyciszenie i spokój. Jakby słowa tu i teraz były skierowane właśnie do ciebie. Aktor sięga po egzemplarz „Pana Tadeusza” leżący obok na stoliczku.

– Dziękuję, Panie Adamie... – wpatruje się skupiony w okładkę. Podnosi wzrok, ogarnia nim zgromadzonych. Cisza. Wie, co chcieliby usłyszeć na pożegnanie. Ktoś podchodzi do pianina. Instrument zaczyna śpiewać muskany delikatnie po klawiszach. Aktor wstaje, opierając się koniuszkami palców o poręcz fotela. Przymyka oczy.

Moje są już zamknięte. Znow widzę Paryż. Ciasne mieszkanie. Mickiewicz wśród przyjaciół. Słyszę muzykę i znane mi słowa:

„Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił...”

I tak nas cudem Krzysztof Kolberger powrócił do Soplicowa...

Dominika Gryz I. 18
Pod Wiatr 2000

Krzysztof Kolberger zmarł 7 stycznia 2011 r.

Na fali wspomnień...

Na nasz wspaniały, prężnie rozwijający się polski rynek wtargnęły olbrzymie blaszane hipermarkety. W Gdańsku każde otwarcie takiego giganta obwieszczane jest co najmniej dwa tygodnie wcześniej. Prawdziwa jazda bez trzymanki rozpocznie się dopiero w dniu, kiedy wszystkie miejscowe radia i telewizja będą trąbić o otwarciu na peryferiach miasta supernowoczesnego sklepu. Dziesięcioro pierwszych klientów dostanie sympatyczny prezent od firmy. Każdy może sobie wyobrazić, jakie dantejskie sceny rozgrywają się przed olbrzyyyyym nowoczesnym przybytkiem dóbr i obfitości.

Niedawno otwarto kolejny taki superowo-hiperowo-gigantusowy supermarket. Zawsze potępiałam ludzi, którzy jeździli na tego typu imprezy. Nie wiem dlaczego, ale tym razem ja też zgłupiałam. Postanowiłam pojechać i na własne oczy zobaczyć ten „raj na ziemi”. Już w połowie drogi rozpoczęły się gigantyczne korki, a raczej gigantokorki. Tysiące rodzin swoimi auteczkami lub megasamochodami (np. starami) próbowało się dostać do dwa tygodnie wcześniej upatrzonego celu. Kiedy z prędkością 10 km/h drogą łańcuskową (od samochodu do samochodu) dowlokłam się w okolice hipermarketu, dowiedziałam się, że od dobrych kilku godzin nie ma wolnych miejsc na parkingu.

Idąc za przykładem innych kierowców, wjechałam na jakąś rozkopaną i błotnistą łąkę. Po czterdziestu minutach poszukiwania miejsca, gdzie mogłabym umieścić samochód, wcisnęłam się między drzewo i... kosz na śmieci. Drzewo i kosz na śmieci – dobre miejsce do zapamiętania.

Po wyjściu z auta zorientowałam się, że do tego supersklepu jest jeszcze do przejścia kawałek superzabłoconej drogi. Więc szłam i szłam, a jak doszłam, to się bardzo zdenerwowałam! Wszędzie było pełno małych i dużych ludzi, porozwalanych śmietników itd. Nad czerwonym blaszanym obiektem unosiło się tysiące kolorowych balonów. Przed wejściem grupa zdenerwowanych ludzi czekała na wolne koszyki. Nie idąc w ślady „grupy koszykowej”, szybko weszłam do środka blaszanej puszki.

Na początku ukazała mi się promenada firmowych sklepów. Niestety, był taki tłok, że do żadnego nie dało się igły wcisnąć, a co dopiero mnie. Więc szłam z tzw. *falą*, ciągle potrącana przez jakieś *laski* jeżdżące na wrotkach. W końcu udało mi się zdobyć koszyk. Jeszcze tylko jeden zakręt i... oświetlenie jak w studiu telewizyjnym, klimatyzacja (w całym budynku nie ma ani

jednego okna), a poza tym metro-polia pótek i wieszaków. Przez prawie trzy godziny *plywałam* między proszkami do prania, patelniami, puzzlami, butami.

„Niech pani szybko biegnie do działu z kwiatami. Tam są paprotki za złotówkę! Biegnij, dziewczyno, biegnij!” – woła do mnie jakaś pani.

Więc lecę co tchu, potrącam po drodze jakichś ludzi... Biegnę szybko, bo tam są, a raczej były – paprotki za złotówkę. Moim oczom ukazuje się megapobojowisko. Po paprotkach zostały tylko oberwane liście, wysypana ziemia oraz jedna na wpół zwiędła biduła. Wsadziłam ją do koszyka, to przecież tylko marna złotówka. Czyż prędeż wyszłam z pomieszczenia „kwiaty dla Ciebie”.

Szukałam jeszcze tego dnia (bezsukutecznie) „prawdziwie opłacalnych” promocji.

Zastanawiałam się, czy wybrać ciastka za 2 czy 3 złote.

Przy okazji spotkałam połowę ludzi z mojej klasy.

Podziwiałam i współczułam rekinowi ułożonemu na lodowej tacy.

Oślepiłam się, patrząc na ścianę telewizorów.

Przysypiałam przy baaardzo spokojnej muzyce.

Dla ochłody piłam promocyjnie rozdawaną wodę.

Dostawałam długopisy z logo hipermarketu.

Kiedy czekałam, aż upieką świeże, nadmuchane, sztuczne bułeczki, zagadała do mnie pewna sympatyczna pani: – Przyjechałam tu tylko po chleb, a sama widzisz – pokazała swój wypchany

koszyk – kupuję po prostu wszystko, co mi wpadnie w oko, wiesz – niby dla wnuczki, córki. Nie mogę się powstrzymać. To już chyba taki nałóg.

Biedna kobieta. Zrezygnowałam z bułek.

I tak przez długi, długi czas chodziłam w jakimś transie, wkładając do koszyka różne bzdurze rzeczy. Nie zastanawiałam się nad tym, co robię. Dopiero przy kasie zorientowałam się, że w moim koszyku znajduje się między in-

paczki ciastek, mechaniczny robot i wiele innych, zupełnie mi niepotrzebnych rzeczy. W ciągu dziesięciu minut wszystko odłożyłam z powrotem na swoje miejsce.

Z koszykiem i paprotką udałam się do kasy. Tam powiedzieli mi, że jestem którymś tam klientem i za zakupy nie muszę płacić. Kasjerka nie udawała zdziwienia, kiedy ujrzała moją biedną paprotkę. Jeszcze tylko promenada firmowych sklepów i... JEST WYJŚCIE!

Na zewnątrz ludzie polują na koszyki. Jest już ciemno. Jeszcze tylko kawałek i już będę w drodze do domu. W gąszczu aut szukam mojego pojazdu. Pamiętam, gdzie stał – drzewo i kosz na śmieci. Drzewo i kosz na śmieci – powtarzam sobie w kółko. Szukam, szukam, denerwuję się i szukam. Wreszcie znajduję mój biedny samochód wciśnięty między drzewo i... KTOŚ ZWINAŁ KOSZ NA ŚMIECI!

PS. Nie dziwię się moim rodzicom, że zakupy robią w małym sklepiku w pobliżu naszego domu.

Agnieszka Tokarska I. 17
Pod Wiatr 2000

Blaszana pułapka

nymi: koło dziecinne do pływania, hamak, wino, udziec wołowy mrożony, sandałki dziecięce nr 29 (?), slipy męskie kąpielowe, cztery



collage Anna Jaracz I. 18 (archiwum)

Bydgoski Miedzyń, szczególnie ta jego część położona nad Kanalem Bydgoskim, do dziś pozostaje nieco „staroświecka” w kwestii celebrowania sąsiedzkości. Mieszkam tam od urodzenia i można właściwie powiedzieć, że wychowała mnie ulica. A jest to najlepsza ulica, na jakiej w życiu miałam okazję być.

Wychowała mnie ulica



Szkoda mi, że sąsiedzkość zanika. Kiedyś była naturalna – na herbatę wpadało się bez zapowiedzi. Gdyby chciało się zapowiedzieć, trzeba byłoby udać się do budki telefonicznej w centrum miasta albo do miejscowości obok. Wpadało się po szklankę cukru, którego zabrakło do zwijanej szarlotki (wiadomo, że zwijana najlepsza!), bo po godzinie 20:00 „spożywcak” był już dawno zamknięty. Dla mnie sąsiedzi byli przyjaciółmi. Choć w większości o sześćdziesiąt lat starsi, do dziś pozostają kopalnią inspiracji. Do dziś są dla mnie fragmentem domu, do którego wracam.

* * *

Jest Boże Ciało. Mam cztery lata. Tata ma wypożyczoną ze szkoły, w której pracuje, olbrzymią kamerę, która nagrywa na kasety VHS. Uparłam się, że będę „sytać kwiatki”. Mama przez noc szyje mi białą sukienkę z przemysłowej koronki kupionej w hurtowni z materiałami. Sama wybierałam tę koronkę i wyobrażałam sobie, że to moja suknia ślubna (tak twierdzi mama). Tata nagrywa w nocy, kiedy

skawkowe dzemy. Na niewielkich rozkładanych stolikach na skwerze trwają prawie do rana rozmowy i dyskusje. Wszystkie okienne instalacje i chorągiewki na płotach zostają na swoich miejscach do rana. Zawsze podczas tych spotkań wszyscy wspominali, że do niedaw-

nie słyszał o zwyczaju robienia na drodze nowożeńców „bram”. Przy okazji sobotniego podlewania trawników nastąpiła jednak mobilizacja. Bram było ze trzy. Niektóre znajomości trwają do dziś. Dzięki temu jednemu ślubowi chyba trzy pobliskie ulice miały okazję w sobotnie popołudnie napić się z sąsiadem drinka.

Ten skwer, gdzie całe osiedle spotkało się wtedy po Bożym Ciele, wszyscy sprzątam raz do roku. Zazwyczaj jesienią. Wychodzimy na niego z termosami, grabiami, łopatkami, kosiarzami. Dziś mieszkam w Poznaniu i w tych spotkaniach porządkowych na skwerze już nie uczestniczę, ale mama mówi, że tego roku Pani Krysia już nie mogła grabić ani pielić. Jej córka wystawiła na skwer jej ulubiony wiklinowy fotel, żeby mogła z wszystkimi pobyc i usłyszeć ponownie te same historie co zawsze.

* * *

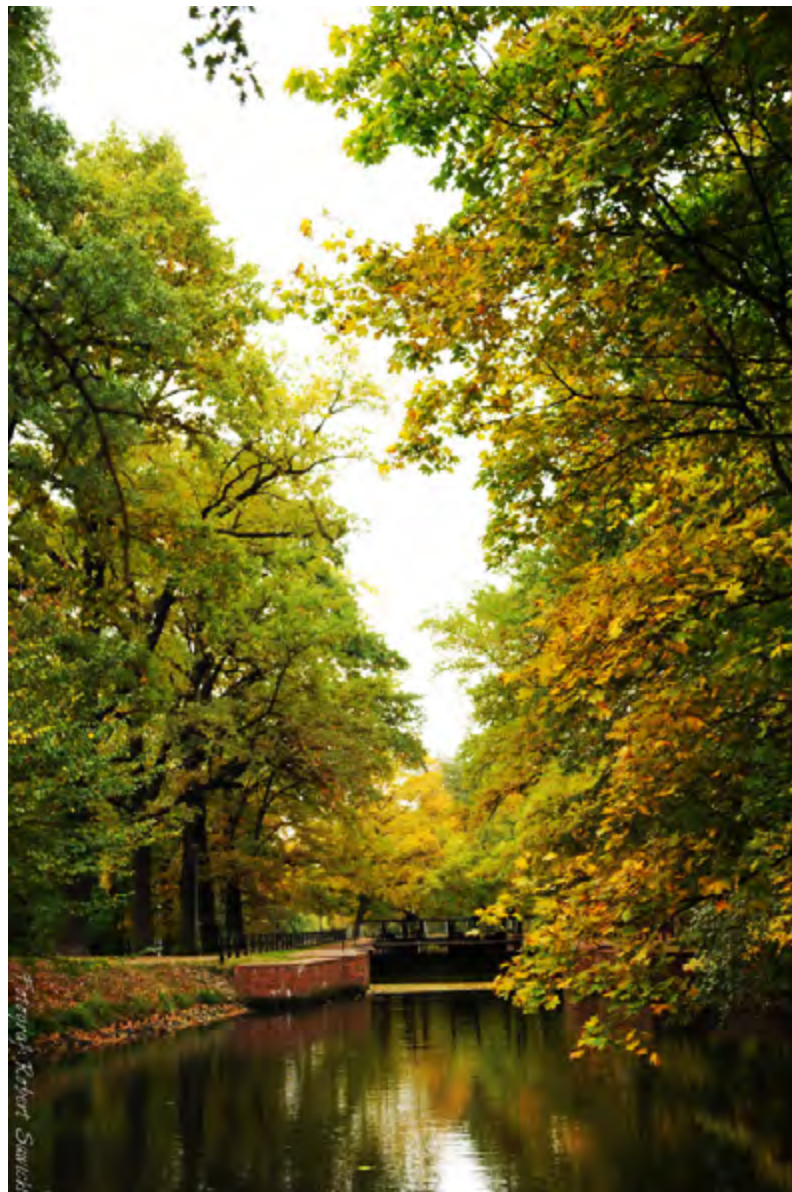
Córka Pani Ali bierze ślub. Wtedy nikt nie nagrywa. Nie pamiętam nic, bo miałam wtedy dwa lata. Mama mówi, że kiedy przeprowadzili się do Bydgoszczy z pobliskich Przyłęk, nikt na naszej Kościerskiej

* * *

Kiedy sześć lat temu umiera moja Babcia, do naszych drzwi puka Pani Bożenka. Ma w rękę ja-

mama podchodzi do mnie śpiącej na kanapie, rozciąga moje małe nóżki i rączki i mierzy, czy ta sukienka z przemysłowej koronki ma szansę być w ogóle dobra. Jest dobra i następnego ranka tata filmuje, jak biegam po ulicy i krzyczę „niech żyje pochód Bożego Ciała”. Pomyliło mi się chyba z pierwszomajowym, choć przecież nie mam prawa pamiętać.

Przypadkiem, oprócz mnie biegającej po ulicy, tata filmuje też Panią Bożenkę, która wiesza na płocie kolorowe trójkątne chorągiewki. Ciocia Hania z naprzeciwka komponuje w otwartym oknie jakąś starannie rozplanowaną dekorację. Pan Janek grabi na naszym skwerze liście, które spadły na przyszyżoną trawę (tę trawę dzień wcześniej skościł Łukasz, przystojny syn Pani Stefci). Procesja idzie naszą ulicą, ja sypię dumna kwiatki na tym „pochodzie”, którego nie rozumiem, i myślę kierunki, wpadając ostatecznie na księdza proboszcza (tata nagrywa oczywiście). Ważne jednak jest to, że po procesji na tym wygrabionym i wykoszonym skwerze trwa sąsiedzka impreza. Moja Babcia wynosi szarlotkę (zwijaną, wiadomo!). Wszyscy przynoszą „coś”: kanapki, kompoty, pierwsze małosolne, tru-



kieś naczynia i mówi, że przyniosła nam obiad, bo przecież na pewno nie mamy do tego teraz głowy. „Zośka by mnie chyba pokarała z nieba, jakbym was głodnych zostawiła!” – mówi w progę, a potem razem z nami płacze. Na pogrzeb zrywa Zośce z ogrodu najpiękniejsze piwonie. A na kolejną wiosnę rozsiewa turki. Babcia uwielbiała piwonie. Doskonale ją też pamiętam, jak oddzielała nasiona z suszonych turków, żeby posiać je znowu za rok. Zawijała je w taki cienki, biały pergamin.

Puka do naszych drzwi któregoś wieczoru Pani Michasia. Nie wiem, jak dawno jej u nas nie było albo czy kiedykolwiek nas odwiedzała. Mieszka ulicę obok, a jej mąż zaprojektował całe nasze osiedle. Jak byłam dzieckiem, to za nią nie przepadałam, bo denerwowała się na szczekające głośno psy. Ja uwielbiałam wszystkie osiedlowe psy i nadawałam im swoje własne imiona. Mówi też, że wie, że niedawno zmarła nam Babcia. Pyta, czy może wejść na kawę, bo nie ma z kim porozmawiać. Żona jej syna właśnie umiera na raka, a ona nie ma już siły pocieszać wszystkich wokół i trzymać dom w ryzach. Mówi, że powinniśmy ją z mamą zrozumieć „jak kobieta kobietę, jak sąsiadka sąsiadkę, jak osoba, która straciła i osoba, która właśnie traci”. Synowa Pani Michasi zmarła tydzień później. Pani Bożenka znowu musiała narwać piwonii.

* * *

W każdego sylwestra rodzice udawali się na bal organizowany u taty w szkole. Co robię jako dziecko w sylwestra ja? Piję truskawkowego szampana dla dzieci



z Babcią i sąsiadkami. Wszystkie wystrojone w pastelowe „garsonki” i bluzki z haftowanymi kołnierzykami. Wspominają wojnę, wyciągają straszne historie o duchach i o tym, jak zmarła moja Prababcia. Trochę się tych historii boję, a trochę udaję, że śpię i podsłuchuję. Ja też mam na sobie piękną sukienkę (kto wie może i tę z Bożego Ciała?). Gdy wybija północ, budzą mnie i stawiają na kuchennym parapiecie, żebym mogła poobserwować fajerwerki. Jemy razem pączki (Pani Stefcia robiła najlepsze!).

To były najlepsze powitania Nowego Roku, jakie mi się w życiu przytrafiły. Zasympiałam na kanapie między Babcią a którąś z sąsia-

dek. Każda z nich pachniała różaną wodą toaletową i perfumami „Pani Walewska”. Pamiętam te zapachy do dziś.

* * *

Rok temu, kiedy zmarła Pani Irenka spod trzynastki (w młodości była policjantką i bardzo ją za to podziwiałam), do jej domu wprowadziła się zupełnie nowa rodzina. Pani Ala mówi, że do dziś dziwi się ogromnie, że zaproponowała im pomoc w opiece nad najmłodszym synkiem. Za darmo. W końcu są sąsiadami i wracają późno z pracy, a ona i tak codziennie idzie do pobliskiej szkoły po swoją najmłod-

szą wnuczkę. Franek mówi teraz do Pani Ali „Babciu”. Ostatnio jego rodzice nieco się ośmielili i zapytali Panią Alę, co robi w sylwestra, bo oni nie mają co z Frankiem zrobić, a bardzo chcieliby iść na bal. Pani Ala do dziś pachnie „Panią Walewską”. Mówi, że czeka na mój ślub, żeby znowu wszyscy mogli zrobić „bramę” i wspólnie wznieść sąsiedzkie zdrowie. Jest ich trochę mniej niż kiedyś, ale wciąż jeszcze opowiadają te same historie i wspominają, jak to wszyscy mieliśmy na początku takie same płytki w łazienkach.

Paulina Młyńska I. 21

*fol. Robert Sawicki
na zdjęciach Kanał Bydgoski*

Na fali wspomnień...

Może to... Ty?

Spotkałam kiedyś człowieka. Może nazywał się Stachura, Cobain czy Kieślowski. Może to była Poświatowska, Pawlikowska-Jasnorzewska, Joplin...

Ten ktoś miał ogromne oczy, wyrażające strach, brak wiary w sens, oczy bez kilku chociażby resztek nadziei.

A może ten ktoś miał opuszczone w dół ramiona, jak mój ojciec, który wraca z pracy i uważa, że to

właśnie on dźwiga na swych barkach cały świat. Może siwe włosy trosk codzienności przeplatały się w tragicznym tańcu z rzadkimi nitkami włosów pięknych dni.

Może to było wczoraj? Wśród tłumów wesołej młodzieży na korytarzu mojej szkoły dostrzegłam Człowieka. Tylko plecak z książkami na jego zgarbionych ramionach wskazywał na to, że nie jest on stary.

W otaczającej go szarości dostrzegłam tylko dwa ogromne jeziora oczu. Może jego źrenice zwężone jak łebki od szpilek były małymi kropkami pod wielkimi znakami zapytania kryjącymi się w jego wzroku?

Może ten Człowiek dziś już nie żyje? Zabity go monotonia, rutyna, szarość wlokących się dni. Może jak bezbronnego motyla przyszpilił go do stołu życia bezsens miłości? Może wpadł w pułapkę czegoś, co – jak przypuszcza – pozwala mu żyć naprawdę?

Może leży gdzieś w brudnym szalecie, ze strzykawką w zamartej żyłce, z zastygłym ziemskim jeszcze grymasem na ustach? I może nawet nie wie, że ktoś (może Ja?)

właśnie w nim dostrzegł i pokochał Człowieka?

Może widziałam tego Człowieka w moim lustrze? Kwiaty piękna opuściły swoje główki. Wiara w siebie opadła pod nogi jak jesienny liść. Młodość zadusiła się pod czarnym kirem beznadziejności. Miłość zgasła jak znużona gwiazda. Została noc.

Może widziałam takiego Człowieka? Może na imię miał Tomasz, Leszek, Zbyszek. Może to była Agnieszka, Joanna, Natalia.

A może wśród tłumu ludzi tym dostrzeżonym przeze mnie Człowiekiem byłeś... Ty?

Joanna Mueller I. 17

Pod Wiatr 1996



(Eko)logiczne badania

Ziemia nie może być sama

Ekologia. Nuda. Roślinki, zwierczaki, akwenty wodne... Jak je chronić? Jak oszczędzać wodę? Jak nie marnować białych kartek? Mówią nam o tym od dziecka. I nigdy nie mają dosyć. Nauczyciele, rodzice, babcie, dziadkowie... Jakby się zmówili. I po co to robią? Żebyśmy byli „eko”. „Eko”, „bio”, „fit” i nie wiadomo co jeszcze. Cel w sumie szczytny. Większa dbałość o naturę, świadomość konsumpcji, wrażliwość na piękno i dziewiczość przyrody, oszczędzanie zasobów naturalnych. Znajomość konsekwencji naszego działania, a nie tylko nastawienie na terazniejsze zaspokajanie potrzeb.

Jak trafić z takim zaszczytnym celem do młodych pokoleń? Dlaczego dzieci kojarzą ekologię z nudą? Przecież w dbaniu o nasz dom, o naszą planetę, nie ma nic nudnego. Wręcz przeciwnie, kryje się za tym ciężka praca. Ciężka i czasochłonna, niekiedy niewidoczna gołym okiem, prawie zawsze niewidoczna od razu. I tak niewdzięcznie nietrwała. Wystarczy bowiem jeden nieodpowiedzialny człowiek, aby obrócić miesiące naszych starań wniwecz. A co dopiero, gdy takich ludzi są tysiące?

Cel: ochrona

Bycie „eko” to – najprościej mówiąc – życie w zgodzie z naturą. W domu, szkole, pracy, na wakacjach. Czyli – dbanie o nią. Nie narażanie jej na niechciane przez nas samych działania. Czy chcielibyśmy, aby ktoś nieustannie sypał okruszki jedzonych ciastek na właśnie odkurzoną podłogę? Aby

wkładał brudne dywany do pralki razem z naszą białą bielizną? Lub do każdej kawy dodawał dziesięć łyżeczek cukru, rozsypując połowę po drodze (więc dodając kolejne pięć)? Nie sądzę. A jak ma się czuć Ziemia, gdy zostawimy puste butelki w lesie, kartoniki i papierki na ulicy? Gdy zużytą mikrofalówkę wrzucimy do zielonego pojemnika ze szkłem lub żółtego z plastikiem? Lub gdy dla wygody nie odłączymy ładowarki od prądu? Czuje się źle.

Różnica jest jednak taka, że Ziemia nic z tym nie może zrobić. Nie powie nam: „Ej, turyści, nie wyrzucajcie tu niedopałków, bo las może się zapalić”, albo: „Nie hałasujcie tak bardzo, bo przepłoszycie wszystkie zwierzęta z ich domu”.

Powinniśmy wiedzieć, że pewne postawy są niewłaściwe dla zachowania symbiozy natury i ludzi. A szczególnie powinni o tym pamiętać turyści. Będąc w atrakcyjnym dla siebie miejscu, odcięci od szarej

rzeczywistości, często zapominają o podstawowych zasadach obcowania z przyrodą. I nawet nie chodzi o wszystkie możliwe światła zapalone jednocześnie w hotelach czy systematyczne branie plastikowych reklamówek ze sklepów z pamiątkami, zamiast noszenia własnych, płóciennych. Chodzi o śmieci, brud, hałas, wandalizm i nieposzanowanie praw matki natury.

Hipoteza: sami sobie winni

Druga klasa liceum to już nie takie dzieciaki. Nie trzeba było w nas zaszczipać idei dbania o przyrodę, tłumaczyć, dlaczego to jest ważne. Celem naszej wycieczki było coś innego – mianowicie zbadanie, jak bardzo (nie)ekologiczny jest turysta. Przekonanie się, jak turystyka i rekreacja wpływają na małe turystyczne miejscowości. Obserwacja wody, powietrza i przyrody, aby zidentyfikować zagrożenia, uświadomić sobie negatywny wpływ nieznaczącej turystyki na środowisko naturalne. Samodzielne przekonanie się o zbawiennym wpływie dbania o naturę, jak i o niszczyielskim charakterze ludzkiej egzystencji.

W maju 2015 roku udaliśmy się do Pieczysk nad Zalewem Koronowskim. Pojechaliśmy tam wyposażeni w urządzenia do mierzenia zanieczyszczenia powietrza, urządzenia do badania odczynu wody oraz własne oczy do obserwacji fauny i flory. Wyjazd tych nie-dzie-

ciaków z drugiej klasy liceum był częścią programu **Matury Międzynarodowej (IB)**, realizowanego w **IX Liceum Ogólnokształcącym w Bydgoszczy**, z przedmiotu Geografia HL, pod nazwą **Fieldwork**.

Na początku postawiliśmy cztery hipotezy, z których trzy okazały się prawdziwe.

Jako pierwszą pod lupę wzięliśmy jakość wody. „pH wody będzie maleć w miarę oddalania się od głównej plaży”. Dlaczego ma maleć? Bo woda w obrębie dzikich, nieuczyszczanych plaż ma być mniej zanieczyszczona, czyli ma mieć bardziej kwasowy odczyn od tej przy plaży głównej. Okazało się jednak, że wskaźnik małał nieznacznie – od pH równego 7 do pH równego 6,6. I bynajmniej nie było to spowodowane większą czystością terenu, tylko obecnością drzew iglastych. A te wymagają kwaśnego odczynu gleby, czyli niskiego pH. A że rosną w okolicy Zalewu Koronowskiego – oddziałują także na wodę. Malejącego pH nie można więc łączyć z mniejszym wpływem człowieka.

Z przykrością i rozczarowaniem stwierdziliśmy, że turyści nie ograniczają swojego nieracjonalnego zachowania tylko do plaży głównej. Nieco dalej znaleźliśmy puste butelki, które w każdej chwili mogły zapalić od promieni słonecznych wysuszoną ściółkę. Popękaną ławkę, na której nie można było usiąść. Nieuprzątnięte miejsca po ogniskach. Wystające z piasku pojedyncze papierki i niedopałki.

A na dzikich plażach? Tony śmieci. Skupione wokół drzew i usypane góry rozmaitych odpadków. A także połamane gałęzie, drzewne graffiti, wypaloną ziemię po ogniskach i znowu zniszczone ławki. W środku lasu, przy Zalewie, okolica, która mogła być przyjemna, stała się odrażająca. Dla człowieka, jak i dla zwierząt. Bo przecież przy okazji swojej szkodliwej dla przyrody niefrasobliwości niszczymy zwierzęce siedlisko i pozbawiamy się miejsca odpoczynku. Niemal każdy zakątek Piecysk w pobliżu Zalewu Koronowskiego obfitował w namacalne znaki braku dbałości o naturę. Wandalizm? Proszę bardzo. Rozboje? Jeszcze częściej. Głośne zachowanie? Na pewno. A szczytem tej wielkiej nieekologicznej góry była żółta podejrzana substancja wylana do wody tuż przy jej brzegu, narażająca kąpiące się dzieci i żyjące w zbiorniku ryby na niebezpieczeństwo.

Obserwacja fauny i flory w Piecyskach dała nam więc jednoznaczny rezultat. Okolice okazała się usiana zagrożeniami takimi, jak hałas, wandalizm, śmieci, natłok turystów, co niekorzystnie wpływa na warunki wypoczynku. Sporządziliśmy wykresy (*bi-polar analysis*) opisujące jakość przyrody, wyznaczając na podstawie obserwacji ogólną ocenę dwunastu wybranych miejsc w skali od jeden (najgorsza) do pięć (najlepsza). Większość lokalizacji charakteryzowała się wynikami rzędu nieco ponad dwa. Świadczy to o bardzo złym stanie środowiska.

Jeśli jednak spojrzymy na powietrze, z pomiarów wykonanych czujnikiem CO₂ wynikało, że zanieczyszczenie tu wręcz nie występuje. Najmniejsza wartość – 366 ppm – jak i największa – 424 ppm – miesz-

czą się w dopuszczalnym poziomie koncentracji cząsteczek dwutlenku węgla (350–450 ppm), a to dlatego, że ruchu samochodowego tam praktycznie nie ma. I dlatego, że tłumy turystów przybywających do Piecysk nie stanowią jednak tak potężnych „armii”, jak te występujące na przykład na Costa del Sol.

Wniosek: do boju

– Takie wyjazdy pokazują, jak łatwo można być nieekologicznymi turystami, a co za tym idzie nieekologicznymi mieszkańcami planety – zauważa **Arkadiusz Szulc**, nauczyciel geografii w IX LO w Bydgoszczy, który koordynuje w ramach Fieldwork szkolne wycieczki proekologiczne. – Dzięki naszym obserwacjom uczniowie stają się bardziej uważni, a przede wszystkim świadomi swojego wpływu na naturę. A pomiary, które wykonujemy, dodatkowo pokazują, jak w prosty sposób można ten wpływ zbadać.

W eseju dotyczącym naszych obserwacji, który pisał każdy z nas, potwierdziliśmy trzy hipotezy. Jedynie powietrze okazało się inne niż to, które sobie założyliśmy. Ogólny wniosek był prosty – turystyka i rekreacja w dużym stopniu wpływają na środowisko naturalne w Piecyskach. I nawet jeśli powietrze i woda są czyste, fauna i flora są zauważalnie narażone na niebezpieczeństwo. Pokazuje to, że turyści są zagrożeniem nie tylko w obrębie wielkich centrów turystycznych. W mniejszych miejscowościach ich ślady widać jeszcze lepiej. Może dlatego, że mniej pieniędzy przeznaczonych jest na utrzymanie tych terenów w czystości i dobrym stanie. A może dlatego, że wielu turystom po prostu na tym nie zależy.

A my? Jak reagujemy na to, co widzimy i odczuwamy po programie Fieldwork? Jak twierdzi pan Arkadiusz Szulc, po takich doświadczeniach stajemy się bardziej uważni. I to nie tylko w sferze turystyki.

To prawda. W nieznanym mi dotąd miejscu zdecydowanie łatwiej zauważam leżące samotnie odpadki, brak koszy na śmieci czy odrywające się ze ścian kamieniczek płyty tynku. Staram się nie dokładać do tej góry potrzeb i segreguję odpady, nie zostawiam ich pod drzewem, nie płoszę zwierząt w lesie. Zostawiam miejsce takim, jakie je zastałam. I przeszkadza mi, jeśli inni tak nie postępują. Bo Fieldwork i cały program IB nastawione są na działanie, niepozostawanie obojętnym. W stosunku do natury i drugiego człowieka. A szanowanie środowiska to przecież dbanie o nas samych.

Uczniowie z IX Liceum Ogólnokształcącego w Bydgoszczy mogą więc zaszczepiać zdrowe i nowe nawyki w swoich rówieśnikach, świecić przykładem, propagować większą ekologię wśród dorosłych i w rodzinach. Odświeżyć swoje umysły, badając środowisko, włączyć do działania serce. Zrozumieć i uświadamiać to innym, jak łatwo jest zniszczyć i jak przez to nam wszystkim jest nieprzyjemnie. I jaki czujemy wstyd. Wówczas w naszych mózgach automatycznie zaświeci się lampka z czerwonym „stop”. I przez kolejne lata na pewno staniemy się innymi ludźmi. Jakimi my staliśmy się po fieldworkowym wyjeździe.

Podejrzewam, że gdybyśmy odwiedzili Piecyska w środku sezonu, byłoby gorzej. Szczególnie ze śmieciami. Ale pozostałyby one

zakryte przez turystów. Turystów, którzy ciągle generowałiby nowe śmieci. I nowe... Wtedy, w maju, gdy rano na szlaku nie spotkaliśmy prawie nikogo, brud i zaniedbanie stały się dla nas bardziej widoczne. Dzięki temu lepiej mogliśmy przygotować się do nieśmiecenia. Nawet teraz, rok po ukończeniu liceum, pamiętam dokładnie te odstraszające obrazy z Piecysk i wrażenie, jakie na mnie wywarły i pozostawiły.

Wyrzucić butelkę i zostawić po sobie niezagaszone ognisko jest łatwo. Powiedzieć sobie, że nie wracamy już do tego miejsca, więc co nas ono dalej obchodzi. Nie myśleć o tych, którzy tam mieszkają lub dopiero mają się pojawić. Trudniej jest jednak tam przebywać w gęszczu pokolorowanych nienaturalnie drzew, cuchnących resztek żywności czy fruwających papierków.

Miejsce więc obumiera. A wraz z nim – my. I zwierzęta. Stajemy się nieczuli, bez szacunku, nawet dla własnego domu – Ziemi. Nie możemy na to pozwolić. Nie możemy pozwolić na taką ekologiczną znieczulicę. Musimy działać. Ziemia nie może być sama. Bo tak jak zajęczek z wiersza Krasickiego został zjedzony „wśród serdecznych przyjaciół”, tak nasza planeta zginie wśród siedmiu miliardów swoich mieszkańców i opiekunów. Chyba że jej pomożemy.

Gabriela Bończyk I. 20

Na zdjęciach z archiwum szkoły:

1. Zalew Koronowski
2. Nasza grupa z Geografii HL
3. i 4. Spisywanie i analizowanie obserwacji



3



4

WOJEWÓDZTWO MECENASEM KULTURY W REGIONIE

